



Miłosne gierki

Kościół. Ona – piękna, on – brzydki. Ona ubrana w przepiękną białą suknię, a on tradycyjnie w czarny garnitur. Pełno kwiatów, morze łez. Ach, co za wzruszenie! „I ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską”. Symboliczny pocałunek, u niektórych przeradzający się w gorącą manifestację uczuć. Tu posypią ryżem, tam podrzucą grosik. Wesele do rana. Wspaniale! W takim razie, co dalej?

Siedem lat później

Już dawno mają za sobą pierwsze kłótnie. Znają się na wylot, można by rzec, że się ze sobą nudzą. Często dochodzi do próby naprawienia związku. Ona wpada na pomysł, żeby urozmaicić życie seksualne, a on funduje drogie wakacje za granicą. Czasem obojgu przyjdzie na myśl dziecko. „Tylko kto się będzie nim zajmował?” – myślą po głębszych refleksjach. „Kochanie, co powiesz na zwierzątko – może piesek?”

„Ja tych obłeśnych efektów przemian psiej materii nie będę sprzątał/sprzątała!” – kwestie proszą dopasować wedle uznania.

I co tu zrobić? Rozwód? – Nie, bo mamy zobowiązania finansowe. Nie ma pomysłu? Czekamy, co będzie dalej.

Piętnaście lat później

„Niechący” mogły się zdarzyć jakieś zdrady, a co po tym następuje – krzyki, wrzaski, wyrzucanie ubrań (męskich bądź damskich) z



Rys. Patrycja Turowska

okna. Prawdopodobnie poszli na ugodę i zamiast dziecka oraz pieska pojawiły się rybki. Brak konwersacji. „Prawie zapomniałam, jak on się nazywa” – przykład fragmentu rozmowy telefonicznej.

Mieszkanie pewnie jest już większe (bo mają duże akwarium). Wyposażenie domu zgodne z dzisiejszą modą. Ona myśli o operacjach plastycznych, a on – jak zrzucić „brzuszek piwosza”. Mijając się na korytarzu, nawet na siebie nie spojrzą. Rybki zdychają jedna po drugiej.

U kresu życia

Oboje już dawno pogodzili się z utratą szczęścia. Chodzą co niedzielę do kościoła, by na koniec życia mieć tzw. czyste konto. Operacja plastyczna się nie udała – ona jest załamana, a on waży 10 kilogramów więcej. Niekiedy, gdy po wieczornym pacierzu leżą obok siebie, zegar cichutko tyka, a oni nasłuchują swoich płytkich oddechów, zastanawiają się, gdzie popełnili błąd. Co źle zrobili, czego nie zauważyli? Być może żałują tych wszystkich nieporozumień. Chcieliby cofnąć czas, nauczyć się od nowa kochać „tę” osobę – bo zawsze jakiś sentyment pozostaje.

KINGA DEREN

Wszędzie dobrze, ale w... Polsce najlepiej?

Oto cytat z jednej ze znanych francuskich gazet: „Polska(...) Kraj, w którym co piąty mieszkaniec stracił życie w czasie drugiej wojny światowej, którego 1/5 narodu żyje poza granicami kraju i w którym co trzeci mieszkaniec ma 20 lat. Kraj, gdzie człowiek wydaje dwa razy więcej niż zarabia, gdzie przeciętna pensja nie przekracza ceny (!) trzech par dobrych butów, gdzie jednocześnie nie ma biedy, a obcy kapitał pcha się drzwiami i oknami. Kraj, w którym cena samochodu równa się trzyletniemu zarobkowi, a mimo to trudno znaleźć miejsce na parking. Kraj, w którym rządzą byli socjaliści, w którym święta kościelne są dniami wolnymi od pracy. Cudzoziemiec musi zrezygnować tu z jakiegokolwiek logiki, jeśli nie chce stracić gruntu pod nogami. Dziwny kraj, w którym z kelnerem można porozmawiać po angielsku, z kucharzem po francusku, ekspedientem po niemiecku, a ministrem lub jakimkolwiek urzędnikiem państwowym tylko za pośrednictwem tłumacza. Polacy! Jak wy to robicie?” Jeżeli w taki sposób postrzegane jest nasze państwo,

Wkrótce może stać się to prawdą. Emigranci pojawiają się w Polsce, jak przysłowiowe grzyby po deszczu. O ile kilka lat temu przedstawiciel żółtej rasy kojarzył się nam tylko z natrętnym straganiarzem na bazarku, który wciskał nam skarpetki z bawełny najlepszej jakości czy urządzenia elektryczne „made in China”, o tyle dzisiaj nikogo nie dziwi widok skośnookiego dżentelmena w garniturze i z aktówką w rękę. Coraz częściej możemy się też spotkać z Afroamerykanami. Ich egzotyczna uroda niejednej Polce zawróciła już w głowie. Zupełnie naturalni są mówiący łamaną polszczyzną Francuzi, Anglicy czy Niemcy.

a stereotypowy Polak to złodziej, pijak i kłamca, to czym zaskakujemy obcokrajowców? Co przyciąga ich do grodu nad Wisłą?

Najpiękniejszy skarb narodowy

Andrzej Rosiewicz śpiewał, że „najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny”. I to jest prawda, to jest fakt. Wystarczy rozejrzeć się po światowych wybiegach mody, na których ostatnimi czasy królują Polki. Nazwiska takie jak Anja Rubik, Małgorzata Bela czy Karolina Malinowska już nie raz zdobyły okładki międzynarodowych magazynów mody. Według wielu to

właśnie uroda Polek jak magnes przyciąga cudzoziemców. Przekonał się o tym Ray Wilson, były wokalista zespołu Genesis, od kilku miesięcy spacerujący po warszawskich ulicach ze swoją ukochaną – Polką z krwi i kości.

– To prawda, że Polki są śliczne, ale nie tylko o urodę tu chodzi – mówi Stephen, Anglik będący w stałym związku z Edytą, która kilka lat temu wyjechała na Wyspy. – Angielki są bardzo krótkowzroczne, nie myślą w ogóle o przyszłości. Ja mam swoją „polish girl” i wiem, że z nią mogę stworzyć kochającą się rodzinę i dom dla naszych przyszłych dzieci.

– Do Polski wróciłabym jedynie ze względu na bliskich, których tu zostawiłam – opowiada z kolei Edyta. – Zdaję sobie sprawę, że to piękny kraj, ale w Torquay, gdzie mieszkam, żyje się po prostu łatwiej.

Z jej relacji wynika, że daleko nam jeszcze do obiecywanej przez Donalda Tuska „Irlandii nad Wisłą”. Banalny przykład. W Wielkiej Brytanii podróżując komunikacją miejską ustawiają się gęsiego przed autobusem czy metrem, co w Polsce nie weszło jeszcze w nawyk. Bitwa o siedzące miejsce kończy się kłótnią pasażerów, a w ekstremalnych przypadkach zmiążdżonym palcem u stopy. Inne są też stosunki na linii kupujący – sprzedawca. Tam zaobserwować możemy kult klienta, który płaci i ma prawo wymagać, co u nas graniczy z cudem. Nie muszę chyba wspominać o większej liczbie ofert pracy i lepszych płacach?

Polaków portret własny

Okazuje się, że nie jest malowany tylko czarnymi barwami.

– Urzekła mnie u was silna więź z rodziną. Możecie na siebie

liczyć w każdej sytuacji – przyznaje Stephen. – W Anglii dzieci wprowadzają się z domu najczęściej w wieku szesnastu lat. Chociaż rodzice nadal formalnie sprawują nad nimi kontrolę, większość popada w samowolkę. Dlatego jest tak dużo młodocianych matek i problemów w szkołach.

Obalone zostały też przesady o tym, że jesteśmy chamscy i nietolerancyjni.

– Według mnie ludzie są mili i przyjaźnie nastawieni – komentuje dalej. – Na początku, kiedy spacerowałam z moją dziewczyną po jej rodzinnej miejscowości, mieszkańcy dziwnie na mnie spoglądali. Jednak później dowiedziałem się, że był to objaw zwykłej ciekawości, a nie uprzedzenia.

Przejawów niezrozumienia dla innych nacji i kultur nie dostrzegają też chyba obcokrajowcy, którzy na stałe osiedlili się w Polsce i robią tu karierę w zatrważającym tempie. Kto nie zna Steffana Möllera? Zapalał do naszej ojczyzny taką miłością, że aż wydał niemieckojęzyczną książkę pt. „Viva Polonia!”. Mnożyły można by również piosenkarzy, zachwyconych naszą mentalnością. Garou, In-Grid, Kate Ryan – to tylko niektórzy z nich. Po każdym kolejnym koncercie zapowiadają, że jeszcze do nas wrócą. Czy można więc stwierdzić, że w przypadku naszych rodaków powiedzenie „cudze chwalicie, swego nie znacie” się sprawdza?

KAROLINA MANIOWSKA

Okiem Recenzenta

Rozrachunek pod prąd

Jest bardzo mało osób, które dogłębnie znają najnowszą historię Polski. Gry i mechanizmy toczone przez władzę i ludzi, którzy do niej dążyli, są dla zwykłego, przeciętnego Polaka jedynie częściowo jasne.

Rafał Ziemkiewicz, autor książki o tajemniczym i na pierwszy rzut oka nic niemówiącym tytule „CZAS WRZESZCZĄCYCH STARUSZKÓW”, pokusił się o analizę i opis sceny politycznej w oparciu o postać Jarosława Kaczyńskiego. Autor bezpartonowo pokazuje absurdalność życia politycznego i społecznego panujące od początków III Rzeczypospolitej. Liczne patologie i wszechwładność urzędników, naginających i tak niedorzeczne w wielu miejscach prawo. Autor uważa, że czas wrzeszczących staruszków to okres do przejścia władzy przez bezideową i wyzbytą misjonarskiego zacięcia Platformę Obywatelską, różniącą się od środowiska „Gazety Wyborczej” i jej tuby propagandowej, a także od Jarosława Kaczyńskiego i PiS-u, którzy według autora mieli przynajmniej jakąś wielką ideę odbudowy i reformy państwa (w obu przypadkach skrajnie różną, ale na pewno szczerą).

Można powiedzieć, że jest to swego rodzaju skrócona biografia Jarosława Kaczyńskiego, zawierająca niezliczoną ilość ciekawych dygresji o tematyce politycznej. Nie mamy jednak złudzeń. Ziemkiewicz pomimo swoich prawicowych poglądów równie często chwali prezesa PiS-u, jak i go punktuje. Wytyka mu wszystkie błędy, które doprowadziły go do klęski. Począwszy od fatalnego doboru współpracowników, a na niechęci do środków masowego przekazu kończąc.

Autor niezwykle często krytykuje część inteligencji, którą nazywa „michnikoidami” za ślepe i bezkrytyczne patrzeć na to, co pisze „Gazeta Wyborcza” ogarnięta fanatycznym i fantastycznym przeświadczeniem, że Polsce zagraża skrajna prawica i że grozi nam faszyzm inspirowany przez moherowe bojówki Ojca Dyrektora. Proszę się nie obawiać! Wspomniany Tadeusz Rydzik również jest w tej książce krytykowany. Ziemkiewicz wytyka mu chciwość i ksenofobię, które bez zastanowienia podchwytywały stali słuchacze Radia Maryja.

Pisarz wykazał się w tej książce wielką wiedzą, doskonałym przygotowaniem oraz rzetelnością dziennikarską. Pomimo tego, że jest to subiektywny rozrachunek ostatnich lat, widać, że Ziemkiewicz wyżył się służalczego stosunku do elit, jaki prezentuje wielu komentatorów i publicystów w naszym kraju.

Zdecydowanie polecam tę książkę ludziom, którzy zdolni są skonfrontować stawiane w niej tezy ze swoimi własnymi poglądami lub z książką kogoś o przeciwnej do Ziemkiewiczowskiej wiarygodności politycznej.

SYMON TYNIEC



Czułem się jak smaczna kanapka

Ma czterdzieści cztery lata, a lista jego niesamowitych wyczynów jest bardzo obszerna. Był instruktorem kompanii antyterrorystycznej, skoczek wojsk powietrzno-desantowych, a dziś trener pływania, starszy ratownik WOPR oraz instruktor nurkowania i nurek jaskiniowy. Jest również zdobywcą Korony Ziemi, czyli najwyższych szczytów wszystkich kontynentów, łącznie z Mount Everestem. Kocha wyzwania, nie boi się spełniać swoich, często szalonych, marzeń. BOGUSŁAW OGRODNIK opowiada nam o swojej wielkiej miłości do ekstremalnych przygód.

► **Sukcesem, czyli rekordem świata i rekordem Guinnessa, zakończył się Pański udział w „Projekcie 9000”. Na czym dokładnie polegał ten wyczyn?**

– Magiczne 9000 to różnica wysokości między szczytem najwyższej góry Ziemi – Mount Everestem a nurkowaniem na głębokość 152 metrów. Pomysł polegał właśnie na osiągnięciu różnicy tych poziomów. Udało mi się zanurzyć na 163 metry i co najważniejsze – wypłynąć na powierzchnię po tym zanurzeniu. Do zejścia potrzebowałem 38 butli. Większość wykorzystałem podczas trzypółgodzinnej dekompresji, a sprzęt, który miałem na sobie, ważył ponad 170 kilogramów.

► **Ostatnie cztery lata poświęcił Pan na zdobywanie Korony Ziemi. Każdy szczyt ze względu na często diametralnie różne warunki atmosferyczne wymagał odpowiednich przygotowań. Począwszy od gorącej Afryki, po skutą wiecznym lodem Antarktydę. Która góra przysporzyła najwięcej trudności?**

– To zależy, o jakiego rodzaju trudnościach mowa. Jeśli chodzi o finanse, to najwięcej komplikacji pojawiło się w przypadku Mount Everestu, bo wyprawa kosztuje około miliona złotych. Trzeba więc znaleźć sponsorów oraz patronów medialnych. Kolejną trudność to klimat. Na Antarktydę mogliśmy się dostać samolotem z Punta Arenas (czubka Ameryki Południowej). Po długich oczekiwaniach na wylot nasz pilot oznajmił w końcu, że lecieć możemy, bo się ociepliło i jest „tylko” minus 59 stopni Celsjusza. Tylko, bo w tym regionie świata temperatura niejednokrotnie spada do

minus 89 stopni bez wiatru. Najlepszy kombinezon ma atest tylko do minus 50 stopni.

Na Papui Zachodniej, chcąc dotrzeć do Piramidy Carstensa – najwyższego szczytu Australii i Oceanii – musielibyśmy wyna-



Fot. archiwum

jąc helikopter za około 20 tysięcy dolarów. To było poza naszym zasięgiem finansowym i dlatego do podnóża góry dotarliśmy na piechotę.

► **O ile wiem, to podczas tej wyprawy spotkaliście się z ludożercami...**

– Wpakowaliśmy się w samo centrum wojen plemiennych. Szaman jednego z nich nawet za duże pieniądze nie chciał dać nam przewodnika ani tragarzy, bo dzień wcześniej porwano i zabito jego czterech wojowników. W odwecie musiał napaść na wioskę przeciwnika i wyrównać straty. Mówiąc to, patrzył na nas, jak na pyszne kanapki. Teraz opowiadam to, jak dobry żart, ale wtedy wcale nie było nam do śmiechu. Ludożercy

wierzą, że po zjedzeniu człowieka zyskują jego siłę oraz intelekt. A my pod tym względem z pewnością byliśmy dla niego i jego plemienia bardzo atrakcyjni. Podobnie, jak ten misjonarz, którego zjedli i którego czaszkę nam pokazali. Tak byli zafascynowani jego mądrością, że chcieli mieć go ze sobą już na zawsze...

► **Spotkał Pan kiedyś yeti?**

– Niestety nie, ale mam zdjęcie ogromnej stopy zrobione w roku 1980 przez uczestników polskiej wyprawy, którzy po raz pierwszy zdobywali Mount Everest w zimie. Fotografuję tę, przed moim wyjazdem w Himalaje,

– Ważne jest zaufanie do współtowarzyszy wyprawy i świadomość, że w każdej sytuacji możemy na sobie polegać. Przy silnym mrozie wypowiedzenie pełnego zdania jest czasami wręcz niemożliwe, a załatwianie potrzeb fizjologicznych urasta do poważnych problemów. Oddychając powietrzem, zawierającym jedną trzecią tlenu w stosunku do powietrza, którym oddychamy na co dzień, trzeba się zastanowić nawet nad wykonaniem najprostszyczych czynności. Na co dzień nie zdajemy sobie z tego sprawy. Warto poznać ten diametralnie inny świat, aby umieć później szanować rzeczy tak zwyczajne, jak gorąca herbata czy kawałek pysznego sernika w ciepłym domowym zaciszu.

► **Najbliższe plany?**

– Kilka dni temu kolega zaproponował mi udział w biciu rekordu świata w nurkowaniu w meksykańskich jaskiniach cenotach w jednym z najdłuższych podziemnych korytarzy na świecie. W tym wypadku dystans do przepłynięcia wynosiłby około 20 tysięcy metrów. Sporym utrudnieniem jest tu zjawisko halokliny, czyli mieszania się wody słodkiej i słonej.

► **Czy jest jakieś wydarzenie, które szczególnie utkwiło Panu w pamięci?**

– Wsiadam z samolotu w bazie Patriot Hills na środku Antarktydy i nagle patrzę, a tu w moim kierunku, z ogromnym uśmiechem na ustach, biegnie Murzyn. Dopadł mnie, zaczął ścisnąć i radośnie poklepywać po plecach. Okazało się, że to alpinista z Republiki Południowej Afryki. Gdy zapytałem go, skąd ten entuzjazm na mój widok, powiedział, że ma przyjaciela Polaka, który namówił go, aby jako pierwszy ciemnoskóry wszedł na Mount Everest. Dzięki temu stał się bardzo sławny nie tylko u siebie w kraju, ale i na świecie. Dlatego do końca swojego życia będzie przyjacielem Polaków i gdzie tylko się da, będzie ich chwalił.

KLAUDIA FABISCH
i ASIA GOLIŃSKA

Bez wątplenia archetypem wszystkich love story był Kopciuszek, zniewolona dziewczyna, po którą pewnego dnia zjawiał się książę na białym koniu. Choć jest to tylko bajka, wiele z nas mocno wierzy w to, że taka historia może przytrafić się również nam. We wszystkich tym umacniają nas komedie romantyczne, w których miłość nie zagląda w metrykę ani nie zwraca uwagi na pozycję społeczną.

Od lat cieszą się ogromnym powodzeniem na całym świecie. Mimo że daleko im do kina ambitnego, mają rzesze fanek, które z niecierpliwością wypatrują nowej premii. Co sprawia, że tak uwielbiamy te, jakże przewidywalne, naiwne i przesłodzone do bólu opowieści? Oczywiście temat przewodni, czyli uczucie łączące bohaterów.

Bajka dla dużych dziewczyn

Ewolucja na ekranie

Do klasyki kina romantycznego należy film „Casablanca” z 1942 roku. Mistrzowsko odegrane role przez Humphreya Bogartę i Ingrid Bergman oraz kultowe słowa „uśmiecham się do Ciebie”, stały się fundamentem dla następnych filmów tego rodzaju.

Ponieważ świat poszedł do przodu, również realia, w jakich toczą się akcje filmów, musiały ulec zmianie. Dawniej, w latach wojny, kochanków na ekranie rozdzielała walka z okupantem, współcześnie natomiast rozłąka ta spowodowana jest licznymi intrygami i zdradami, a akcja dzieje się w mieście podobnym do każdego innego miasta.

Sukcesem komedii romantycznych jest m.in. to, że dopaso-

wują się one do sytuacji i problemów, z jakimi na co dzień boryka się widz. Może się on więc łatwo zidentyfikować ze swoim bohaterem.

Nadzieja płynąca z ekranu

Poznajcie Judytę, trzydziestoletnią dziennikarkę, mamę dorastającej Tosi, którą mąż porzucił dla dużo młodszej kobiety. Brak dachu nad głową i wizja utraty pracy powodują, że Judyta nie załamuje się, lecz przy pomocy wiernych przyjaciół rozpoczyna nowe życie. Kierując się zasadą „Nigdy w życiu!”, krok po kroku, realizuje postawione sobie cele. Oczywiście w nagrodę za wszystkie trudy spotyka ją wielka miłość.

Postać Judyty stała się wzorem dla miliona Polek, które znalazły się w podobnej sytuacji jak ona. Uwierzyły, że nie należy się poddawać, a stwierdzenie „Nigdy w życiu!” dla wielu stało się życiową dewizą.

Rentgen serca

Fenomen komedii romantycznej polega przede wszystkim na tym, że odzwierciedlają one najskrytsze pragnienia widza. Która z kobiet nie chciałaby choć raz znaleźć się na miejscu Reese Witherspoon, której superprzystojny Patrick Dempsey wręcza bukiet kwiatów mówiąc, że każdy z nich symbolizuje chwilę, w której myślał o niej tej nocy? Na pewno wiele.

Choć nasze życie nie przypomina hollywoodzkiej produkcji, warto czasem pomarzyć, że i my znajdziemy miłość równie romantyczną, jak ta, która porzuciła Hugh Granta i Andie McDowell w „Czterech weselach i pogrzebie”.

MARTA IŁNICKA

Mundurkowy zamęt



Fot. Małgorzata Bulatowicz

Zanim jednak dyrektorzy podjęli decyzję, musieli zapytać o zdanie nauczycieli, radę rodziców i samorząd szkolny. W wielu placówkach odpowiedź była jedna: KONIEC Z MUNDURKAMI! Mimo to niektóre pozostały przy jednolitych strojach. Dlaczego?

– Jako pierwszy z inicjatywą pozostawienia mundurków wyszedł samorząd szkolny. Uznano, że jest to dobry pomysł na to, aby uczniowie nie wyróżniali się metkami ubrań, które noszą – opowiada Józef Szumilas, dyrektor Publicznego Gimnazjum nr 1 w Brzegu Dolnym.

– My także bardzo chcieliśmy pozostać przy jednolitych strojach, ale co z tego, jeśli rodzice i uczniowie się sprzeciwiali temu? – mówi dyrektor Szkoły Podstawowej nr 6 w Brzegu Dolnym.

Jak zwykle... Jedno tak, drugie nie. Jak w Sejmie.

– Trzy lata temu wyjechałam z rodzicami do Manchesteru! Przeprowadzka, nowe towarzystwo... Najgorzej było w szkole, a dokładniej sam fakt, że miałam nosić mundurek. Tutaj mogłam chodzić normalnie ubrana – opowiada siedemnastoletnia Agnieszka. – Długie spodnie na kant, biała bluzka i marynarka! Koszmar! Ciężko było się do tego zastosować, ale teraz wydaje mi

Polska jest krajem, w którym wszystko zmienia się jak w kalejdoskopie. Od 1 września 2007 roku noszenie mundurków stało się obowiązkowe we wszystkich publicznych szkołach podstawowych i gimnazjach. Wprowadzenie obowiązkowych, jednolitych strojów szkolnych było pomysłem Romana Giertycha, ministra edukacji w rządach Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego. Dokładnie dwanaście miesięcy później, od września 2008 roku, weszły w życie zapisane w poprawce do ustawy o systemie oświaty następujące zmiany: mundurki w szkołach nie będą obowiązkowe, ale dozwolone.

się, że to właśnie pomogło mi nawet w nawiązywaniu nowych znajomości. Nie byłam wyśmiewana, nikt mnie nie oceniał po stylu ubierania się. Niczym specjalnym się nie wyróżniałam. Kiedy dowiedziałam się, że moi przyjaciele w Polsce muszą obowiązkowo mieć jednolite stroje w szkole, byłam przekonana, że wyjdzie im to na dobre. Teraz śmiać mi się chce z polskich polityków, że po roku czasu tak szybko zmienili zdanie.

Tak właśnie jest, kiedy brakuje stanowczości w podejmowanych decyzjach. Przecież ta pierwsza ustawa wcale nie była taka zła. Miała wiele plusów. Zakłady krawieckie mogły bardziej się rozwijać, zatrudniać dodatkowych pracowników, a fabryki tekstylne także miały w tym pewną korzyść. Uczniowie nie wytykali się palcami, nie naśmiewali z kolegów i ich tańszych ubrań. Wszyscy byli tacy sami, mogli czuć się równi.

W szkołach podział na biednych czy bogatych nie był tak bardzo widoczny, jaki jest teraz, kiedy na nowo wróciła tzw. rewia mody.

– Uczniowie powoli przyzwyczaili się do noszenia mundurków. Oczywiście, czasem musimy niektórym dzieciom o nich przypominać, ale stosują się do naszych zaleceń – dodaje Józef Szumilas.

Teraz, kiedy dyrekcja sama może wprowadzić lub wycofać taki obowiązek, jest to jeszcze większe zło, niż wydawało się na początku. Nie wiadomo dlaczego młodzież, która nie ma już mundurków, drwi z innych i uważa się za lepszych!

Polsko, gratuluję ci tak wspałałomyślnych polityków, w których interesie leży dobro twoich mieszkańców. Nic zatem dziwnego, że gdzie byś nie pochwaliła się rządzącymi w twoim kraju, wszędzie tam jesteś wyśmiewana.

ANGELIKA CHEĆKO

Spirala szkoły

– Czy spotkałeś się kiedyś z agresją?

– Nie, ten problem mnie nie dotyczy... – odpowiada niemalże odruchowo absolwent szkoły podstawowej/gimnazjalnej/licealnej. Czym jest spowodowana taka reakcja? „Kumpla” przecież się nie wyda, nie pójdzie się do mamy, bo jeszcze by aferę w „budzie” zrobiła... Poza tym skarżenie jest okazaniem słabości. Czyli lepiej nie mówić nic, a jak mówić, to żeby nie robić wokół sprawy szumu... Jednym słowem – wyznaczenie prawdy równoznaczne musi być z milczeniem i nierozwiązaniem problemu. Jak żyć prześladowanym, krytykowanym, poniżanym, dyskryminowanym? Co robić, gdy braknie pomysłów na sensowne załatwienie sprawy, gdy już jest za późno?

Tak wiele się mówi o bezpiecznych szkołach, w których dzieci są do siebie przyjaźnie nastawione,

a wokół panuje sprzyjająca nauce atmosfera. Co najważniejsze – we wszystkich tych placówkach obowiązuje zasada równości... Dość wyidealizowany obraz? Codziennie na terenie Polski dochodzi do kilkunastu incydentów, których dyrekcja nie chce podawać pod opinię publiczną, dbając o renomę szkoły. Dorośli dają tym samym ciche przyzwolenie „gwałcielowi prawa”, które równa się akceptowaniu narastającej agresji.

Ostatnio dość głośna sprawa dotycząca szkoły w województwie kujawsko-pomorskim, w której dzieci biedne i zamożne nie jadały w jednej sali, ale w dwóch oddzielnych. Obawa sanepidu?! W jednym pomieszczeniu posiłek uboższy, podany na plastikowych półmiskach i talerzykach, w drugim natomiast danie dobre, na miarę szkoły, w eleganckiej zastawie.

– W takich momentach – mówi mi Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak – widzę namacalną potrzebę swojego zawodu. Młodzież czuje się bezkarnie – szczególnie słonie, które miażdżą bezbronne mrówki. Mówi się, że przemoc jest przejawem bezradności, a często ofiary wpadają mimowolnie w „spirale agresji” i same zaczynają dyskryminować, poniżać innych. W tym jest dużo prawdy, bo niejedyn incydent (a interwencji od zaledwie czterech miesięcy pełnił tę funkcję przeze mnie tej funkcji było cztery tysiące) potwierdza tę tezę. Aby pokazać ofiarom agresji, że nie są same, otworzyliśmy linię telefoniczną 0 800 12 12 12, którą nazwaliśmy Dziecięcym Telefonem Zaufania Rzecznika Praw Dziecka. Na telefony czekają wyspecjalizowani psycholodzy, którzy natychmiast udzielają pomocy nie tylko psychologicznej.

– Nie twórzmy sobie sami piekła. Nauczmy się życia, w którym nie ma słabszych czy gorszych – dopowiada przewodnicząca Rady Miejskiej Wrocławia Barbara Zdrojewska.

Nie tylko szkoła jest winna narastającej agresji. Sami rodzice, zamiast tłumaczyć dziecku jego naganne zachowanie, kręcąc głową, nakładają śmieszne kary, a o sprawie się zapominają na następnego szlabanu na komputer.

KLAUDIA ORSKA

KRÓTKO, A TREŚCIWIE

Równouprawnienie (?)

Od dłuższego czasu słychać wiele protestów i skarg, że pewna sieć komórkowa pokazuje reklamy, w których przedstawia kobiety przedmiotowo i ogólnie się z nich nabija. Konkretnie, panie próbują brać się za rozmaite męskie zajęcia i im to nie wychodzi (larum podnosi głównie płeć piękna).

– Ta reklama jest absolutnym policzkiem dla wszystkich szanujących się kobiet. Tylko męska, płytka, ograniczona wyobraźnia mogła stworzyć coś tak żałostnego – grzmi Anna Wałac, przeciwniczka reklamy.

Ja osobiście nie mam nic przeciwko i jak kobieta koniecznie chce być np. drwałem albo tłuc kamienie dwudziestokilogramowym młotem, proszę bardzo, nie ma sprawy. Nie żeby miało to większy sens, ale skoro komuś zależy... Nawet jak wydepilowany mężczyzna w obcisłych rajstopach chce wywijać szpagaty w balecie, też się nie krzywię, choć zdecydowanie bardziej wolę, żeby wywijał kilofem.

Ciekawy jest jednak fakt, że kobiety jakoś nie protestują, gdy w wielu reklamach pokazuje się je jako totalnie bezmyślne „ciapy” przeżywające ekstazę na widok czystego prania, umytych naczyń czy czekoladki z bąbelkami. Czy to nie narusza godności kobiet? Więc dlaczego czują się tak pokrzywdzone widząc, że przedstawicielka ich płci nie umie utrzymać węża strażackiego (czego nie potrafi też wielu mężczyzn)?

I dlaczego kobiety nie mają nic przeciwko, gdy w reklamach rozmaitych proszków, mydeł, burszców itd. pokazuje się z kolei panów jako „pupy wołowe”,

co to tylko potrafią się ubrudzić (często wraz z małym synkiem) i z głupawym uśmieszkiem osoby z IQ poniżej 80 patrzeć, jak ich żona kiwa głową, mówiąc „ech, ci moi mężczyźni”. Drogie panie, skoro walczymy o równouprawnienie, to powinnyśmy równie zajadle bronić dobrego imienia mężczyzn... Chyba, że ich godność się do naszej nie równa.

– W produkcie kierowanym do „grupy docelowej” dopuszczalna jest kpina z „opozycji”. Stąd w reklamach dla panów kobiety to trajkoty i niezbyt inteligentne blondynki, a w reklamach dla pań mężczyźni są dużymi dziećmi, które bez pomocy kobiet nie zaradziłyby życiowym przeciwnościom. To taka konwencja – wyjaśnia Jerzy Langer, specjalista od reklamy.

Skoro tak, to skąd te narzekania? Toż oferta owej telefonii kierowana jest do mężczyzn, zatem drobna kpina z pań jest tu dopuszczalna...

Co do mnie (a jestem kobietą) – nie chcę czasów, gdy pralki, lodówki czy inne tym podobne sprzęty, reklamowane będą przez kusząco przegięte przez blat, wygolone pośladki w stringach – tyle że męskie. (Fuj!) Jestem za równouprawnieniem, ale na Boga – nie aż tak...

KATARZYNA GÓRECKA



Fot. Magda Rega

Bogowie sportu

Są wszędzie, aczkolwiek nie tak męczący i irytujący, jak pułdelkowe gwiazdki. Stawiają im pomniki za życia, mają własne firmy, własne logo i miliardy fanów. Zarabiają sto razy więcej niż lekarze, pielęgniarki czy inne osoby ratujące ludziom życie. Prowadzają się z modelkami, jeżdżą drogami samochodami i są gwiazdami. Bogowie sportu.

Bardzo różnią się od zwykłych celebrities, bo ich fenomen jest oparty na ciężkiej pracy, potężde ludzkiego ciała i doskonałej synchronizacji umysłu, mięśni oraz emocji. Oni, w odróżnieniu od większości aktorów i muzyków, są godni naśladowania. Niektórzy nienawidzą ich za to, że są idealni i odnieśli sukces. Inni kochają dokładnie z tego samego powodu. Ale wszyscy, czy interesują się

sportem, czy też nie, znają największe jego gwiazdy.

Czarny koń koszykówki

Michael Jordan to żywa legenda, ale większości kojarzy się głównie z „Kosmicznym meczem”, filmem, w którym zagrał u boku Królika Bugsa. I nie jestem pewna, czy można to uznać za sukces, szczególnie jeśli ktoś zdobywa mistrzostwo NBA trzy

razy z rzędu. W 1994 roku wybudowano mu pomnik pod halą United Centre. Następnie jego numer – 23, został zastrzeżony, a koszulka zawisała pod sufitem. Marka ubrań i butów sportowych firmy Jordan sprzedaje się doskonale. A jednak wszyscy pamiętają tylko „Kosmiczny mecz”.

– Jordan był zawodnikiem idealnym. Umiał zrobić wszystko, co tylko się da w koszykówce. Teraz co drugi słaby gracz wsadza piłkę do kosza, a kiedyś jeden wsad na mecz to już było coś wielkiego. Nie wiem, co się zmieniło... Na pewno sprzęt jest lepszy, może parkiet bardziej elastyczny – mówi Piotr, były zawodnik Gwardii Wrocław. – Michael wybijał się

z linii rzutów za trzy i frunął, dosłownie leciał w powietrzu sześć metrów, żeby potem załadować piłkę do kosza. To nie była zwykła gra, tylko sztuka. Wszyscy chcieliśmy być tacy, jak on.

Teraz na fali są LeBron James, Kobe Bryant i Allen Iverson, ale mam dziwne wrażenie, że zostaną po nich tylko buty firmowane ich nazwiskiem, a w przypadku tego ostatniego stylowa fryzura.

Królowie murawy

Jako kobieta zawsze miałam problemy z ogarnięciem, co jest fascynującego w meczach piłki nożnej, tym bardziej, jeżeli przez całe 90 minut nie padnie bramka. Zorientowałam się jednak, że mój błąd polega na oglądaniu polskiej ligi. I to chyba wszystko wyjaśnia. Faktem jest, że piłka nożna ma cały panteon bogów i pomniejszych bóstw. Największym z nich jest chyba Pele, moralizatorski bohater katechizmów.

– Mielismy w gimnazjum religię z księdzem, który nie cieszył się w naszej klasie zbyt dużą popularnością. W końcu chyba zdał sobie z tego sprawę i postanowił trafić do młodzieży poprzez przeczytanie nam z jakiegoś starego katechizmu pełnego religijnych opowieści, historię piłkarza Pele – opowiada Mirek, siedemnastoletni ministrant. – To była jedyna lekcja, kiedy na dłuższy czas zapadła cisza i wszyscy słuchali. Bo opowieść była tego warta. I dlatego, że Pele jest godny szacunku.

Teraz jednak ludzie mówią raczej o tych, którzy są bohaterami

artykułów w „Bravo” – brzydkiem Ronaldinho, płaczącym Christiano Ronaldo i Ebim Smolarku. Mało kto pamięta, że był kiedyś (i to całkiem niedawno) Zinedine Zidane, który na zakończenie swojej wspaniałej kariery pociągnął przeciwnikowi z dyńki i został usunięty z boiska. Ale pozostała mu jeszcze kariera w marketingu – póki co reklamuje antyperspiranty – bravo! Nie mogą również pominąć Davida Beckhama. To znaczy nie mogłabym, ale wybrał pieniądze zamiast szacunku i według mnie nie zalicza się do bogów sportu.

Po co to komu?

Pozostaje rzucić w przestrzeń pytanie – skąd się bierze kult? Dlaczego ludzie tak strasznie potrzebują idola i wzoru do naśladowania?

– To ma sens, bo przez takie porównanie w społeczności wiemy, że osoba jest więcej niż perfekcyjna w swojej dyscyplinie. Nie do pobicia. Warto otaczać ich kultem, bo poświęcili czemuś całe życie i osiągnęli coś wielkiego – tłumaczy Maciej, dwudziestopięcioletni student.

Zdania są podzielone, wiadomo jednak, że ludzie potrzebują sportu – adrenaliny, emocji. Lubią, kiedy coś się dzieje, i to jest ich pożywka. Chcemy być tacy, jak ci gracze na parkiecie. Wzbudzać zazdrość. Sprawni i zachwycający. Młodzi bogowie sportu.

Nazywam się Michael Jordan. Po prostu zrobiłem swoje.

KAROLINA SUHECKA



Fot. Krystyna Kulisiewicz

Felieton Szlifu

Młot na czarownice

Inkwizycja to znana chyba wszystkim instytucja, której zadaniem było zwalczanie heretyków, głównie przez tortury i palenie na stosie. Przestała istnieć w XIX wieku. Jednak jeżeli myślelicie, że jej ideały umarły wraz z nią, to grubo się mylicie. Od pewnego czasu udowadnia nam to jeden człowiek – Ryszard Nowak.

Ten przewodnik górski, hotelarz, były poseł i przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami nieraz dawał dowody tego, iż swoją misję walki ze złem traktuje specyficznie. I czasami znajduje je nie tam, gdzie trzeba. Ostatnio wytoczył wojnę Adamowi Darskiemu, liderowi gdańskiego zespołu metalowego Behemoth.

Okolo roku temu na jednym z koncertów miał on podrzeć Biblię i rozrzucić jej strzępy wśród fanów. Ryszard Nowak dwukrotnie próbował postawić go za to przed sądem, ale nieskutecznie. Zgodnie z prawem o przestępstwie obrazy uczuć religijnych może być mowa tylko w sytuacji, gdy zgłoszą się co najmniej dwie osoby, które poczuły się poszkodowane. O dziwo, zrobiła to

tylko jedna – sam przewodniczący OKOpS. Jak tłumaczy: „Jeżeli ludzie zgłosiliby się do prokuratury, musieliby podać swoje dane osobowe. Pan Darski wyraźnie mówi, że jest satanistą, a ludzie niestety się ich boją”. Umorzenie sprawy nie przeszkodziło Nowakowi nazwaniu muzyka przestępcą, za co ten pozwał go do sądu.

Sprawą zainteresowała się telewizja TVN24. Zaprosiła do jednego ze swoich programów obie strony konfliktu. Dzięki temu kilkaset tysięcy widzów mogło usłyszeć o tym, w co wierzy muzyk Behemoth, jakie są granice artystycznej wypowiedzi oraz o tym, jaki – według pana Ryszarda – powinien być przekaz prawdziwej metalowej muzyki: „Niech śpiewa o tym, że jest niesprawiedliwość, że ludzie nie mają co jeść, a niektórzy politycy oszukują – od tego jest muzykiem satanistycznym”. Cóż, nie wiedziałem, że wyznawcy szatana są od dbania o dobro tego świata. Bo jeżeliby tak było, to czym zajmowałby się nasz bohater?

To nie pierwszy objaw specyficznego podejścia pana Nowaka do

spraw, którymi się zajmuje. Kiedyś próbował on zdemaskować Jurka Owsiaka, pomysłodawcę Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i organizatora Przystanku Woodstock: „Wystarczy spojrzeć, co ten facet robi z rękami. Jego dłonie są nerwowe i często pokazują znaki charakterystyczne dla wyznawców szatana. Owsiak to zakamuflowany satanista”. W ubiegłym roku zapowiadał on opracowanie raportu zawierającego „Czarną listę zespołów”, która miała za zadanie nie dopuszczać do organizowania imprez z udziałem grup rockowych i metalowych uznanych przez OKOpS za propagujące satanizm. Niestety, jest ona tajna, ale podobno znalazły się na niej zarówno takie grupy, jak Slayer i Behemoth, ale również Myslovitz – piewcy szatana, jak się patrzy.

Niestety, działalność pana Nowaka prócz śmiechu przynosi realne skutki – między innymi odwołanie wielu koncertów metalowych. To pokazuje, że nawet dziś nie każdy może słuchać takiej muzyki, jakiej chce. I to, że nadal w naszym kraju obowiązuje tylko jeden – katolicki – punkt widzenia.

Co zaś najsmutniejsze, trudno znaleźć choć jedną informację o faktycznych dokonaniach i zasługach Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami. Mam

nadzieję, że takie w ogóle istnieje, inaczej trudno będzie nazwać Ryszarda Nowaka inaczej, jak inkwizytorem naszych czasów.

MAREK PUCHAŁA

Wszecznice odwiedzi

Młodzieżowa Wszecznicca Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

Na pierwszym styczniowym spotkaniu gościliśmy Konrada Imięć – dyrektora Teatru Muzycznego „Capitol”. Opowiedział nam o swojej pracy, najważniejszych przedsięwzięciach oraz o aktorskich poczynaniach, zarówno teatralnych, jak i filmowych. Ponadto dowiedzieliśmy się, jak wygląda egzamin do szkoły teatralnej. Dyskutowaliśmy również o nowym projekcie

ustawy autorstwa PSL mówiącej o możliwości grania, przede wszystkim w serialach, tylko aktorów zawodowych. W następnym tygodniu mieliśmy okazję obejrzeć film dotyczący savoir-vivre'u. Dzięki tej projekcji dziś potrafilibyśmy zorganizować ważne spotkanie, zaczynając od przywitania zaproszonych gości, a kończąc na wykwintnym posiłku.

Szlif

Miesięcznik Młodzieżowej Wszeczniccy Dziennikarskiej

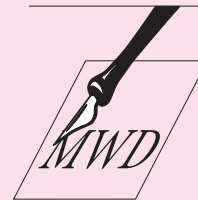
Adres redakcji: ul. Hauke-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
e-mail: gazeta.szlif@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo aduściacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszecznicca Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński
Przewodniczący MWD: Łukasz Owsiany tel. 662 992 428
Redaktor naczelna: Marta Wołowicz tel. 602 323 655
Z-ca red. naczelnego: Kamil Komarzyniec
Sekretarz redakcji: Małgorzata Bułatewicz
Przygotowanie do druku: I-BiS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c. tel. (071) 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszeczniccy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszecznicca Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 16.00 do XIII LO przy ul. Hauke-Bosaka 33.